Nr. 39. We Lwowie dnia 29. września 1901. Rok 10.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Po burzy.

Jeszcze ostatnia, głośna błyskawica,
Potem jęk — odgłos piorunnego młota —
Wreszcie ucichło... Przeszła naremnica,
W oddali jeno dudni i turkota.

Już na zachodzie chmura się przeciera.
Przez okiennicę wązkiego otwora
Niebo błękitem na ziemię wyziera
Tak samo jasne, pogodne, jak wczora.

A tu na ziemi lić... potoki huczą,
Każdem wgłębieniem warczą wały wodne —
Zda się: tę ziemię doznaku opłuczą,
Ostawią jeno skały samorodne.

Zściężałe drzewa ociekają rosą,
Trawy się lżejsze prostują powoli,
A zboża źrzałe, jakby ścięte kosą,
Leżą pokotem wzdłuż po mokrej roli.

Z miedz obalonych sączą się strumienie,
Źródło z każdego bucha kretowiska —
Gdzie okiem rzucić, wszędzie spustoszenie,
Zatopy mętnych wód i zamuliska.

Na zagon wązki wyszedł chłop od chałup,
Popatrzał w koło... „Myślałech, że zgarnę
Co z tego pola.. a tu wszystko na łup, —
Cała ta praca człekowa na marne“...

Stanął bez rady i opuścił ręce,
A w sercu uczuł zwątpiałość bez granic.
Z oczu łzy trysły... „Myślałech: poświęcę —
Ale to na nic... wiem, że i to na nic“.

Władysław Orkan.

4)

Z piany Egeju.

(Baśń grecka).

O nie myśl jednak, Antemijonie, by duch mój, „pospolity i nędzny“ pysznił się cudzą mądrością i cudzem natchnieniem. On tylko spijał chciwie czarę mądrości i natchnienia, żądny i miłujący... Nie jest to przecież zasługą cichego źródła, iż Helios w niem się przegląda, lecz źródło to pomimo woli i wiedzy rozbłyska światłem heliosowem i promienieje z niem razem. Tak też i w duszy mojej odbiło się wspaniałe słońce wielkich i pięknych dusz ludzkich — i olśniewało mię to słońce, i ogrzewało aż do dnia śmierci pana mego, Lydiasa. Wzrok mój, rozpieszczonego dziecięcia, widział w nim ojca, miłującego mię nade wszystkie córki prawdziwe rodzonych ojców, więcej, niż rodzonego syna swojego. I syn ów spostrzegł to również, a gdy wzgardziłam zalotami jego, uciekłszy się pod słodką ojca opiekę, zataił swą nienawiść i czekał długo pierwszej do zemsty sposobności... Pewnego razu, gdy dom nasz wypełniony po brzegi gośćmi i przyjaciółmi Lydiasa rozbrzmiewał zachwytami i chwałą głosu mego i urody, któremi pan mój rad chlubił się przed światem całym, — za dłoń go pociągnęłam w głębie ogrodu i powiedziałam błagalnie: „Panie! daruj mi wolność, albo mię nie ukazuj oczom tym gorejącym!“ — Tedy on odrzekł z niepokojem: „Chcesz li, Tiro, opuścić dom mój dla małżonka?“ — A więc mu odpowiedziałam: „Nawet na rozkaz twój nie opuściłabym cię, panie, gdyż dusza twoja rozkazywała by mnie zostać — wbrew ustom i głosowi twemu. Rozumiem dobrze, iż niewolnicą twoją z imienia tylko jestem — dzieckiem twem w obu sercach naszych. Córkę byś oddał w małżeństwo, niewolnica na zawsze przy tobie pozostanie. Lecz uczyń wolną niewolnicę twoją, by wolność moja obroną mi być mogła wobec tych innych ludzi, którzy zdają się wszyscy za własność swą mię uważać.“ — „Daruję ci swobodę w tej chwili i na tem miejscu“, — odrzekł mi Lydias — „lecz wiedzieć o tem będziemy tymczasem my dwoje i tylko moi najbliżsi.

Swieża swoboda nie obroni byłej niewolnicy, tem bardziej może ośmieli napastników. Otoczą cię zasadzki i pochlebstwa, gwałt pocznie czyhać na ciebie. A ja potrafię bronić „własności swojej — i póki żyję — nikt dotknąć jej się nie ośmieli! Po śmierci zaś mojej wolność twa ogłoszoną zostanie. Zaczekaj... może już niezadługo!“ — Wówczas powiedziałam, zalana łzami: „Umrę wraz z tobą panie mój, ojcze! ojcze!“

Żałośne łkanie wstrząsnęło łonem dziewczyny.

— Były to tylko czcze i nikczemne wyrazy! — zaczęła znowu po chwili, otarłszy oczy i ukazując twarz całą od łez wilgotną i różową, jak jasna róża zroszona. — Tylko nikczemne wyrazy! gdyż nie kochałam go dość mocno, by wraz z nim świat ten opuścić!!... Po śmierci Lydiasa syn jego, raz jeszcze odepchnięty przeze mnie — wystawił mię haniebnie na sprzedaż narówni ze zbytecznemi sprzętami ojca swego. O mej wolności głosiłam tylko ja sama, więziona w odosobnieniu, łzami i jęki; lecz wiedzieć o niej nie chcieli, ani mój nowy właściciel, ani nawet najbliżsi przyjaciele, którym się Lydias sam zwierzał. Uciekłam więc w noc ciemną z pomocą braci-niewolników na okręt do Aten dążący. Szłam na spotkanie losu nieznanego do tego miasta, o którem śniłam najpiękniejsze sny moje — uciekłam od strasznej przyszłości, której niczem odwrócić nie mogłam. I zdało mi się tej nocy, która mię do ucieczki natchnęła, iż jakieś bóstwo tych snów najpiękniejszych promienną dłonią pociąga mię ku wzgórzom Partenonu, — i że pod temi wzgórzami sny w rzeczywistość wykwitną... a jeżeli — jeżeli czeka mię i tutaj przepaść otwarta, to uczynię w Atenach to, co zamierzałam uczynić w Milecie: sama się wyzwolę dla innych światów, gdzie może niema niewoli... A może jeszcze młode me życie rozwinie szerokie skrzydło swobody, może bogi, dotąd tak dla mnie łaskawe, znowu zlitują się nade mną. O, bo ja pragnę, gorąco pragnę życia! Tak krótko i tak szczęśliwie, tak bosko-pięknie żyłam!

Nowe łkania rozkołysały jej piersi i we łzach cała przypadła do stóp Antemijona.

— O panie! tyś tak odmienny od wszystkich, co wzrok swój dotąd zatrzymywali na mnie i których się tak lękam, tak nienawidzę!... O panie! kup mię, uczyń mię znowu szczęśliwą, wolną niewolnicą, a będę zmiatać czołem kurz z pod twoich stóp! Ty wiesz przed jakim losem truchleję! Tu zaś w tym białym domu, pod chłodnym, czystym wzrokiem pana jego — ciężkie, nieociosane bryły marmurów twoich będę dźwigać z rozkoszą.

— Strzeż się, Tiro — odparł Antemijon z uśmiechem dobrotliwym — byś nie rzuciła zarzewia do „chłodnych“ źrenic moich. Nie licz też wiele i na zamożność moją. Jest ona znacznie mniejszą, niżeli mnóstwa ateńczyków, których uroda twoja zwabić może. Do ciężkich prac, tak wielce pożądanych przez ciebie, gdyż dotąd ich nie zaznałaś, — wierz mi, nie nadajesz się wcale. Inna zaś wartość twoja nie nęci mię... tymczasem; gdyby zaś w końcu znęciła, nie różniłbym się zapewne od tych, którzy cię nabyć chcieli w Milecie; zechcą nabyć w Atenach. Wówczas nie dźwigałabyś brył marmurowych w tym „białym domu“, pod „czystym, chłodnym wzrokiem jego pana“...

Umilkł, a kiedy oczy klęczącej przed nim dziewczyny smutnie podniosły się ku niemu, dostrzegła na pięknej jego twarzy dawny wyraz znudzenia i niechęci, jak gdyby nie ona jaśniała przed dumnym jego wzrokiem, tylko przebiegły kupiec Arystarchos albo Charmides, gdy się użalał przed nim na pospolitość dusz kobiecych.. Podniosła się powolnym, chwiejnym ruchem — i stała przez długą chwilę niema i sztywna, jak by nie wiedząc co czynić, jakiemi ozwać się słowy. Czarne płomienie jej źrenic zamgliły się i zgasły, a złota głowa, skrząca się w złocie słońca, na pierś opadła, jak złoty kłos złamany.

Lecz błyskawica myśli nowej wkrótce odbiła się na twarzy Tiry i uderzyła nagle z jej oczów — do jego oczów, omdlewających z zachwytu. Wstrząsnęła się, jak ptak ze zwolnionemi skrzydły i biegła pode drzewa, gdzie spoczywała przed chwilą. Z fałdów zmiętego płaszcza, co spadł z jej ramion na ziemię, wyjęła złocistą lutnię, świecącą misterną rzeźbą. I krokiem lekkim skrzydlatym z tą lutnią złoto-skrzydłą wracała. Na twarzy jej nie perliło się już łzawe błaganie, tylko spokój dumy zbudzonej swoje panowanie rozpostarł. Nie zatrzymując wzroku na Antemijonie, minęła go i szła dalej ku nadbrzeżnemu urwisku. W cieniu głazu wielkiego usiadła, wsparłszy o głaz ten czoło bolesne, zwrócona ku morzu, które błękitem swoim zarys jej profilu owiało i obramowało — niby kameę białą, rzeźbioną na turkusie... Czy wyraz czuły rzewny, czyli ucałowanie spłynęło z ust jej na lutnię, gdy ją objęła ramieniem.

I oto cichy a drżący zrazu głos, jak srebro we łzach roztopione, zabrzmiał i spłynął czarowną falą na morze, rozkołysane w namiętnych objęciach Feba i pod namioty chłodne drzew gaju. Powoli jednak głos wzmagał się, rósł coraz potężniej, aż wypełnił sobą powietrze, i gaj, i brzegi Egeju.

„O ziemio potężna, z czołem uwieńczonem fijołkami!...

— — — — — — — — — — — — —

Zabrzmiały strofy piosenne wielkiego wieszcza — a piersi młodych ateńczyków — wezbrały rozkoszą i miłością pod tchnieniem czarodziejskiem jej głosu i słów ukochanych. Głos dźwięczał dalej coraz dumniejszy i płomienniejszy zarazem, a dusze synów Attyki rozpalały się takiemi ogniami upojenia, jakie się palą przed ołtarzem Glaukopis. Pienie prawdziwie natchnione umilkło, jak struny lutni, kapryśną dłoną stargane w swem ostatecznem napięciu. Kilka lekkich, smętnych uderzeń wydało jeszcze cichy, łzawy dźwięk — i śpiew w słonecznem łkaniu się rozpłynął...

Po chwili struny poczęły cicho brzmieć nieśmiałą pieśnią ukojenia.

Cisza i spokój... słodycz i rodzący się podziw niespodziewanej radości — potem szczęście burzliwe, tryumf zwycięski! I oto znowu zatrzepotał nad lutnią potężnem skrzydłem odrodzonem, zbudzony szczęściem bezmiernem, boski głos dziewczęcia. W szczęściu głosu tego, jak w wielkiem słońcu rozbłysnął zda się świat cały...

Ostatni wyraz uleciał, głos umilkł, a rzeźbiarzowi się zdało, iż błękit po nad morzem wypłowiał i zszarzał, że słodkie szmery fal zgrzytem się stały fałszywym, drzewa gaju skarlały i powiędły; że piękno pozostało tylko na czole jej natchnionem, tylko w źrenicach jej, rozszerzonych marzeniem, w postaci jej, drżącej jeszcze od boskich wzruszeń...

Biegł ku niej w uniesieniu Charmides — i pochwyciwszy dłoń, z której lutnia wypadła, wołał głosem wielbiącym, jak przed ołtarzem bogów:

— Tron opróżniony Aspazji zajmiesz w Atenach, prześcigniesz ją chwałą boskiego daru! Potęga pieśni twej, mądrości i urody uczyni cię królową tłumów! Nie dziw, iż opuściłaś marną ojczyznę swoją, która poniżyć cię śmiała! Na wielkiem niebie Aten zabłyśniesz wielkiem słońcem!...

— „Wielbiące tłumy“ zmiażdżyły by mię, obywatelu! — odparła z goryczą Tira, zwalniając dłoń z jego uścisku. — Nie dość im pieśni ptaka, zabłąkanego w obłokach, — zechcą go ściągnąć do błota ziemi, zechcą zbrukać i złamać jego skrzydła dla weselszej igraszki! O, nie królować, lecz służyć nikczemnie musiałabym na ziemi! Lecz ja się im nie dam! Jako cień raczej — odejdę cieniom śpiewać... do tej przeczystej krainy, gdzie niema ciał, niema niewolnic ani panów... na „łąki złotogłowe, dokąd wspaniały Okeanos wysyła bez ustannie z swych głębi słodko dyszące powiewy wiatru zachodniego! „I tylko tamte tłumy elizejskie słuchać mię będą i wielbić może, jak ongi Orfeusza!...

Wzrokiem bolesnym, pytającym i chciwym, objęła morze i zatonęła w głębinach jego szumiących. Antemijon zaś, stojący dotąd opodal i jakby dotąd wsłuchany w jej pieśni i jej duszę, wstrząsnął się wtedy jakby pod nagłym ciosem... Ujrzał ją w myśli swojej na falach morskich, jak martwą Afrodytę, zimną i białą, podobną tym posągom, które do drzew się tuliły.

I pełen strachu i zgrozy biegł ku niej również. I on pochwycił dłoń jej, opadającą bezwładnie i mówił cicho, tak iż głos jego ich tylko dwoje słyszało:

— Na pieśń tę, wykradzioną z Olimpu, nie patrz tak na to morze! Królestwo twoje nie wpośród cieniów Aidu — tylko w gaju słonecznym z umiłowanym przez cię śmiertelnikiem. Orfeusz żył jeszcze, kiedy śpiewał w świecie zmarłych. Pieśń twoja zmarłaby wraz z tobą — i jako cichy, niemy, głuchy cień — ślizgałabyś się sama wśród cichych, niemych cieni!... Kto wie, zresztą, czy cienie naprawdę unoszą się w Aidzie — i czy Elizjon istnieje?... Skąd wiesz, że duch twój narówni z ciałem nie skruszy się na cząstki — i nie rozproszy się we wszechświecie?...

A gdy jej czarne źrenice spojrzały nań ze strachem i pytaniem, jak gdyby nową dziwną objawiał tajemnicę, to już z uśmiechem szczęścia zwycięskiego i głosem pełnym wesela mówił dalej:

— Szukasz opieki boskiego piewcy Hellady, i on się wstawia za tobą. Natchnął cię przebiegły król Itaki mądrością swoją. Czasem okrutnej Cyrce i złej syreny wabisz mię ku sobie? Lecz przeniknąłem zdradność twej ponęty, — i ani głos twój syreni, ani uroda Cyrcei, nie zmogą mię i nie zwyciężą. I jak pragnęłaś przed chwilą — wzrok mój jak lody chłodny, spoczywać będzie na tobie...

A gdy tak mówił łuna płomienna strzeliła z jego oczu i opłynęła przecudną postać dziewczyny, jak wulkan wybuchający. Wypuścił dłoń jej — i głosem tchnącym pieszczotliwą przekorą zakończył swe słowa:

— A więc bądź pewna, że nie stanę w szeregu napastników, których się tak boisz, wywalczać cię.

Ogromne szczęście i zwątpienie, jasność i mroki naprzemian goniły się na zbladłej twarzy Tiry. Nareszcie zostało na niej niezmierne tylko wzruszenie, jak gdyby z rysów tych wołało serce bijące.

— Zdajesz się igrać losem moim, obywatelu ateński!... odezwała się cicho, blednąc i chwiejąc się nagle, jak gdyby Febus, płomienny w porze owej, cisnął w nią strzały najognistsze; ale Antemijon i Charmides podtrzymali ją mocnemi ramionami i uprowadzili w głąb domu. Tu starej niewolnicy, piastunce niegdyś swojej, rozkazał rzeźbiarz aby czuwała nad jej spoczynkiem i spokojem i aby jej dała napoju chłodzącego. Sam zaś po stromej ścieżce gaju zszedł nad brzeg morski pod skałę, gdzie świeżość fali łączyła się z świeżością cieniów, ścielących się od głazów.

(C. d. n.) *Janina Baudouin de Courtenay.*

Powstanie Chochołowskie r. 46.

Pamiętniki Jana Kantego Andrusikiewicza

11) wydał

Dr. Stanisław Eljasz-Radzikowski.

Rano w poniedziałek (23. lutego) Chochołowianie z organistą i księdzem radzą — co robić? — widzą — że ci ranni, radzą nad ich ucieczką do Węgier (do Orawy) ale jeden i drugi, osłabiony zbytnim wylewem krwi — iśćby nie mogli. — Jadąc drogą, lada gdzie by ich zatrzymano; przesmyknąć się lasami w żaden sposób nie można, bo śniegi w pas. — Z rozkazu organisty biegnie młody, szybkonogi góral na wierzch Cerchlicy, czy nie widać co od Czarnego Dunajca. — Niedługa chwilka, a on już z powrotem; powiada, że moc chłopstwa ku Chochołowu ciągnie. Chłopi biorą organistę na włóki (sanie) i uwożą do wsi Cichego — w góry. — Chcą i z Kmietowiczem to zrobić, lecz on nie chce. Zostaje u proboszcza na łożu — mało żywy, radząc do poddania się. —

Przybywszy na czele strażników, — co wczora z Chochołowa uciekli — nadkomisarz Molitoris, — a na czele mnóstwa — prócz wczorajszych — jeszcze ze wsi Wróblówki, Koniówki chłopów, Kulczycki pod Chochołów, wołając i pokazując zatlone, dymiące się kłaki, — grożą: że wieś spalą,— jeżeli się nie poddadzą. —

Stary Chochołowiak nazwany P i a s e k—przypina na żerdkę białą płachtę i idzie naprzód. —

Strażnicy, a za nimi urlopnicy z chłopami przybyłymi biegną wprost na plebanię, wikarjówkę i organistówkę, tłuką okna i zabierają, co znajdują; plebanowi spiżarnię — choć małą — złupili, okna potrzaskali; jeden ze strażników chce na łóżku leżącego Kmietowicza bagnetem przebić; wtem przyskakuje nadstrażnik, odpycha go,— mówiąc: „Widzisz, że już mało żywy?!"—

Wzięto więc Kmietowicza krwią zbroczonego, w sutannie tylko księżej i płaszczu i przywieziono go na Czarny Dunajec, skuto go w okowy 10 funtowe; nie darowali też i kilku chłopom chochołowskim, zbito i powiązano wielu, zrabowano kilka chałup; Lebiockiego strażnika w pokładanego bili nabojczykami (ladsztokami) tak, że mało go nie zabili. — Lud płakał, widząc wikarego rannego i tak haniebnie pojmanego. —

Poszli za organistą do wsi Cichego i z daleka wołali — by go Cichowianie wydali, jeśli nie chcą widzieć domów swoich w płomieniach. — Donoszą to Cichowianie organiście i mówią, że oni by jeszcze potrafili ich odeprzeć, ale widząc organista i oni — że to by było nadaremno, zapłakali nad nim, zaprzęgli konie i odwieźli do Chochołowa. —

Tu — do leżącego na saniach przybył poborca cła z Suchej-Góry L a s k a, leżącego policzkował, na co ten mu powiedział: „Czym i ja się tak z panem obszedł?"... — Nic nie powiedziawszy — poborca zawstydzony odszedł. — Zawieziony potem do Czarnego Dunajca, gdzie niektórzy miejscowi naigrawając się z księdza i or-

ganisty – Chochołowian bili i kaleczyli; jednemu głowę kołem żelaznym rozbito, drugiemu czaszkę widłami od siana przebito; ostatni był przysiężnym w Chochołowie. —

Stąd zawiezieni do Nowego Targu z kilkudziesiąt góralami, a dużo zostało w więzieniu Czarnodunajeckiem. W Nowym Targu opatrzył lekarz Andrusikiewiczowi rany na głowie, poczem mu się ulżyło. — Nabito na niego okowy 6 funtowe, a gdy posłyszano, że jacyś ludzie zbliżają się ku Nowemu Targowi (była to czereda rabusiów) nadkomisarz sądząc, — że to powstańcy, kazał powiązać wszystkim ręce w tył i nogi popod kolana, a od Andrusikiewicza żądał słowa honoru – że się spokojnie zachowa, co on też uczynił. — Tu kilka dni siedzieli, gdzie śledztwo z nim przedsięwzięto. —

Wezwano też pisemnie księdza Głowackiego z Poronina, by się stawił do Nowego Targu, co uczyniwszy — okuty zaraz i razem z Chochołowianami 6. marca 1846. do Nowego Sącza odstawiony został. — Jadąc, mogli wyczytać po drodze współczucie i litość u ludu, — gdzie przejeżdżali; i tak — w Maniowach, gdy stanęli na popas, ludzie w płacz, ale oficer prowadzący kazał natychmiast za wieś ruszyć i tam popas skończyli. — W Sączu — ksiądz Kmietowicz trącony przez nielitościwego dozorcę Piskozuba — wpadł po schodach do piwnicy, gdzie wszyscy przez 7 tygodni byli trzymani, i dwaj górale nogi odmrozili. —

Przyczyny powstania.

Nie jednę by można przytoczyć i nie z ostatnich czasów; od dawna i różne okoliczności miały wpływ na to, — z których celniejsze przytoczyć nie zawadzi. Państwo Czarny Dunajec, którego Chochołów z wyż wzmiankowanemi wsiami większą część stanowi, należało jak inne w tamtych okolicach do kamery; potem je kupił Pajączkowski. Ten widząc dobry byt jego mieszkańców, radził im by się wykupili; i... złożyli coś pieniędzy; potem przeszło pod Szczurkowskiego, nareszcie przyszedł w posiadanie tegoż nieprawemi drogami baron Borowski. — Ten zaszczepił nieobyczajność, prześladował uczciwych, co się upominali o swoje, prawując i procesując się prawie przez lat dwadzieścia, — nie mogli przyjść do posiadania tych wolności, — które okupili; prześladował ojców, którzy mieli urodziwe córki, gdy je kryli przed jego sprośnemi żądzami: w roku 1834 lub 35 kazał strzelać do ludzi, co nie chcieli dać sobie bydła zabrać, a robił to nadużycia bezkarnie, rządowi zawsze przedstawiał, że to lud dziki. — Takie postępowanie zniechęciło ich srodze, a choć w roku 1843 państwo to przeszło pod opiekę księdza Wilczka, który nie takim się pokazał później jak z początku, tem więcej nie byli zadowoleni. —

Łatwo więc można ich było poruszyć księdzu Kmietowiczowi, który tam 2 lata był i dał się im poznać ze strony najlepszej i Andrusikiewiczowi, który tam 12 lat będąc, nie mało dobrego dla nich zrobił, znał ludzi — którym zaufać można i nie omylił się — komu powierzyć tajemnicę; ale przepomnieć nie należy, że ani sam Andrusikiewicz, ani sam Kmietowicz nie byliby tego zrobili, co wspólnie obaj dokazali, każdy ze swego stanowiska. Kmietowiczowi lud uwierzył — z kazalnicy mówiącemu; chłopi poszli za swoim dawnym w przygodach i procesach doradcą, a młódź była za swoim dawnym profesorem. — Wzywał ksiądz Janiczak ze Szaflar w Białym Dunajcu chłopów, ale nie poszli za nim, bo nie tym sposobem ująć ich sobie umiał, jak Kmietowicz i Andrusikiewicz. – Przemówił był coś i ksiądz Głowacki do ludzi w Poroninie, ale czekał na część Chochołowianów, — bo sam był. –

Przed Andrusikiewiczem jeszcze był tam (w Chochołowie) proboszcz Bańkowski i organista Białoński, którzy nad szkółką pilnie pracowali tak, — że dwie części w parafji Chochołowskiej z młodszych umieją czytać; przez co myśl się ich rozwinęła lepiej — niż gdzieindziej. —

Krąży pomiędzy Podhalanami powiastka o królu Bolesławie, co świętego Stanisława porąbał, że śpi zaklęty z wojskiem w jamie — niewiadomo której, i że to wojsko wtedy wyruszy, jak go Polska potrzebować będzie. [Ta sama powiastka jest pod Białą Górą — iż w Białej Górze leży to wojsko]. Nie zaniedbano tedy powiedzieć Podhalanom, że owem wojskiem nie kto inny — tylko oni sami. I to — nie mała pobudka. [Podhale — znaczy Tatry — w wysłowiu tamtejszem]

Wiara przepowiedni dawnych przodków, którzy często byli mawiali: że nie będzie dobrze na świecie, — póki się czerniawa nie ruszy, i że się kiedyś tak stać musi. [„czerniawa“, pospolite ruszenie ludu]. Starzy mawiali: „hajno! hajno! nie będzie dobrze, — póki nie będzie pod Krakowem straszna wojna“, [teraz to rzadko słychać, tylko — że starzy powtarzali], — zdaje się, — że i to musiało się przyczynić do poruszenia. —

Górale nie siedzą doma, jeżdżą oni tam i sam, słyszeli więc mowę, jaka była przed poruszeniem; wieściom fałszywym nie chciało im się wierzyć, bo się im to przecież nie zdawało, aby panowie mieli ludzi zarzynać. — Trafił który z nich na człowieka, któremu uwierzył i prawdę usłyszał góral, która to prawda zupełnie się zgadzała z tem, co ksiądz i organista przed wybuchem do nich mówili, widzieli więc, — że ich nie zwodzą; słyszeli wreszcie o poruszeniach Tarnowskich i Bocheńskich — choć nie we własnym kierunku, jednakowoż tego nie wiedząc — nie ociągali się powstać. –

Jakie jest piękno duszy tych górali – pokazało się najlepiej po klęsce poniesionej, biciu, kaleczeniu, jako i więzieniu, kiedy mówili sobie: „Oj, jakoś to Bóg dał, że niebardzo bo-

lało“. Ów, któremu kula przy organistówce kolano przeszyła te same słowa, gdy się go pytano — czy boli i cierpi — spokojnie odpowiedział: „Nie bardzo boli“. — Gdy się Kmietowicz dowiadywał — czy go nie przeklinają?, ci, gdy się ich pytano — czy się nie gniewają na niego — że takiego cierpienia stał się przyczyną? — odpowiedzieli: „Cóżby my się mieli gniewać?... on tego z palca nie wyssał, on chciał dobrze, tak miało być, Bóg lepiej wie — co robi“. — Gdy we więzieniu sandeckiem jeden młody, niedoświadczony, był klął na... „taką robotę“ — reszta, co z nim siedzieli, — swoi, dali mu w pokładankę kilka plag dla nauki, żeby raczej lepiej Boga prosił, aby dopomógł przecierpieć, że nie on sam siedzi, a różni tu siedzą. — Głód okropny cierpiąc w więzieniu prosili Boga, aby też jeszcze im pozwolił raz sobie podjeść i fajki pokurzyć przed śmiercią. — (poszła pogłoska — że będą wieszani) — Oto obraz podhalańskiej duszy. —

Po poddaniu się, w Chochołowie — rozszerzają się wieści, że już w Nowym Targu słupy stawiają na tracenie więzionych: — trwoga nadzwyczajna, którą tylko myśl na wszechwładnego Boga łagodziła, — później ustawicznie w kościele, — w dzień niedzielny modły do Najwyższego za swymi, księdzem i organistą zasyłali. — Za orła musieli zapłacić 20 fl. con. mon. i za przewodnictwem księży Jezuitów z procesją zanieść na cło Suchogórskie, gdzie ksiądz Jezuita miał mowę taką: (słowa pewnego górala) „...jak gdybyśmy największymi zbójcami byli“... — W tej chwili, żeby się była ziemia rozstąpiła, chętnieby był niejeden skoczył w grób. — Odwiedzały często żony mężów, kochanki narzeczonych, siostry braci; a z daleka patrząc na okowy i łańcuszki, którymi byli pokuci mili ich sercu, — łzami się oblewały. — (Było to nieraz podczas przechadzki na dziedzińcu). —

Te wiadomości są prawdziwe, gdyż ich źródła są: Andrusikiewicz, Kmietowicz, górale ci sami, o których mowa i kilka świadectw osób różnych, jednakowo rzecz potwierdzających, wreszcie sam pisarz, który był prawie naocznym świadkiem. —

(C. d. n.)

13)

O wpływie trunków alkoholicznych

na organizm zwierzęcy i ludzki.

Już dawno przedtem arabscy uczeni medycy pomimo, że byli mahometanami, więc stronić musieli od alkoholu, potrafili wszakże uzyskać dystylat z wina, który potęgował wszystkie właściwości, uważane za dodatnie w tym ostatniem. Z wynalazkiem rzeczonym sądzono, że zdobyto prawdziwy eliksir życia, nazwano go duszą wina, „spiritus vini“, a trunek z niego preparowany, ochrzczono mianem wody życia „aqua vitae“, czyli okowity.

Chodziło teraz tylko o to, ażeby ten płyn drogocenny, uprzystępnić dla wszystkich, ażeby go uczynić tak tanim, by mógł służyć nawet dla najbiedniejszych jako środek do uprzyjemnienia i podtrzymywania życia. Odtąd też wszystkie usiłowania skierowane były w tę stronę zadania filantropijnego Dzięki usiłowaniom, o których mowa, znaleziono nareszcie i w Europie środek do pędzenia wódki ze zboża, a następnie i z kartofel, tym ostatnim wynalazkiem osiągnięto szczyt marzeń i pragnień, tak zwanych przyjaciół ludu.

Równocześnie z postępem na polu wyrobu wódek, wzmagała się fabrykacja i spożywanie win, piwa, porteru etc. Całe ogromne łany poświęcono uprawie chmielu i jęczmienia, zaś olbrzymie przestrzenie przeznaczono jako miejsca dla winnic. I nastały chwile rozkoszne, gdy się ziściły marzenia ludów „sprowadzenia nieba na ziemię“; wódka dotarła pod każdą strzechę, dostała się do najnędzniejszych pomieszkań proletarjatu. Dzisiaj można już za marny grosz utracić świadomość, więc „żyć półbogiem“. Każdy wyrobnik, każdy stróż, każdy woźny i rzemieślnik poświęca znaczną część swego dochodu rocznego na cele uprzyjemnienia życia. Urok egzystencji miljonów stanowi dzisiaj wyłącznie alkohol.

I byłoby wszystko szło jak najlepiej, uznawalibyśmy szynki i piwiarnie za świątynie rozkoszy ziemskich; piwnice po klasztorach, probostwach i dworach magnatów za nieomylne dźwignie natchnień świątobliwych i cnót towarzyskich, a każdą libację mienilibyśmy aktem wyanielenia duszy ludzkiej. Lecz na nieszczęście, dały się słyszeć głosy, z początku bardzo słabe, ale w miarę postępu badań dokładnych, coraz silniej naglące ludzkość do zastanowienia się nad dotychczasowym stanem złudzenia ogólnego.

Przekonania, jakie się wytworzyły na podstawie doświadczeń wszechstronnych sformułowane zostały w następujących zdaniach. Szczęście, jakie rzekomo pozyskać miano wskutek rozpowszechnienia napojów wyskokowych, jest największem nieszczęściem dla ludzkości, bo tak zwany eliksir życia jest prostą trucizną i fizyczną i moralną.

Następnie udowodniono, że łudzimy siebie po dziecinnemu, szukając siły, odwagi, wesołości, uczuć miłości, patrjotyzmu, natchnienia, daru proroctwa etc. w trunkach, gdyż one są źródłem właściwości o całe niebo odległych, od poszukiwanych przez nas; że ostatecznie tracimy czas i zdrowie po lokalach wstrętnych; że wskutek przebywania wśród atmosfery pijackiej zanikają w nas uczucia moralności; że nabywamy wad i ułomności, które przekazujemy potomstwu, skazując je na zwyrodnienie fizyczne i moralne.

Słysząc coraz głośniej wypowiadane zdania, powyżej przytoczone, zastanowić się przecie wypada nad tem, czy przestrogi i nawoływania owe zasługują na uwagę? czy są godne uznania naszego?

Większa część ludzi, pijących nałogowo, odzywa się z niedowierzaniem, mówiąc: Czy to być może, ażeby niewinna rozrywka, jak spijanie tak pożywnego trunku, jakiem jest piwo, w dobranej kompanji, przy pogadance przyjacielskiej, albo tak szlachetna i pożyteczna czynność, jak wznoszenie toastów i wychylanie do dna puharów z szampanem, za pomyślność kraju, lub państwa, za zdrowie panujących, mężów zasłużonych w społeczeństwie, sercu naszemu bliskich — były nam poczytane za zbrodnie, których się dopuszczamy przeciwko sobie i potomstwu?

Czy to jest możebne, ażeby ludzkość od wieków grzęzła rzekomo w błocie a teraz dopiero spostrzeżono się na tem?

Ci sami amatorowie trunków przytaczają, jako argumenty, przemawiające za nieszkodliwością alkoholu, zdania następujące: „Wszak genjalni ludzie, których dzieła podziwiamy dotąd, jak Schiller i Byron; wielcy monarchowie, jak Piotr Wielki np.: sławni mężowie stanu, owi „Najwięksi słudzy wielkich monarchów“, jak Bismark np., pili potężnie, a jednak byli i genjalni i wielcy Wszak narody, tak wysoko wykształcone, stojące na czele cywilizacji, jak Francuzi, albo Niemcy, spijają wina, opijają się piwem, a to im wcale nie szkodzi, przeciwnie dzieje się im najlepiej“. *)

Takimi racjami, rzekomo niezbitemi uzbrojeni, odpowiadają nam pijący zazwyczaj, „że nie ma powodu się lękać“, bo wszystko to, co przed oczy im stawią moraliści jest urojeniem osób, „nie umiejących żyć po ludzku“, ironicznie „zresztą niech jak chce tak będzie, a rzeczą jest niezaprzeczoną, że przyjemność wielka spoczywa na dnie kieliszka i że dzisiaj nie potrafilibyśmy żyć bez napojów wyskokowych, bo czy wysłać swaty, czy sprawić wesele, lub stypę, czy uczcić przyjaciela, czy przyjąć gościa miłego, czy wypowiedzieć mowę jaką solenną, słowem żaden krok w życiu naszem, nie może już być pomyślany bez alkoholu. To też nie pozostaje nam nic więcej jak pić, jakeśmy pili dotąd — umiarkowanie ma się rozumieć**) a dla dzieci naszych bu-

---

*) Zdanie wielce niepochlebne o dzisiejszem społeczeństwie niemieckiem wypowiedział, Niemiec prof. Seufert Zaznaczył on, że w łonie społeczeństwa nurtują pragnienia barbarzyńskie, popędy, nacechowane uczuciem nienawiści, zemsty i okrucieństwa, że one wzrastają stale i to w przestraszających rozmiarach. Seufert naliczył bezpodstawowych skarg i denuncjacji, wywołanych osobistą chęcią zemsty, rocznie 300.000 w państwie bojaźni Bożej i dobrych obyczajów. Ta sama chęć do okrucieństwa przejawia się według niego w dziedzinie prawodawstwa, udowodnił on swe zdanie przytoczeniem petycji, nadsyłanych do Sejmu, tchnących nienawiścią i zemstą, żądających zaprowadzenia kar ciężkich, za byle drobnostkę, żądanie tak zwanych konserwatystów, ażeby wskrzeszono na wsi i w szkołach chłostę cielesną etc.

Dodajmy do tego cały zwierzęcy hakatyzm, a będziemy mieli obraz szkaradny działalności pozornie niewinnego trunku: ,,piwka“. A nasza nieszczęsna kwestja rusińska, wszak ta zaciekłość fanatyczna ,,Haliczan“, czyż nie u tego samego źródła bierze swój początek. Jak w latach ubiegłych urosło było przysłowie: ,,Cherchez la femme“, tak dzisiaj powinno być na dobie nowe przysłowie: Cherchez l' alcohol“, albowiem on jest źródłem okrucieństw, nienawiści, zemsty, podłości i wszelkich innych zbrodni. Co do Francuzów i Węgrów to dzisiejszy stan wielce słabego przyrostu ludności, znajduje swoją przyczynę w alkoholizmie i jego towarzyszce rozpuście, wraz zwyrodnieniem instynktów płciowych. Ta moc niezmierna zakonów mniszych we Francji, niektórych nawet produkujących w olbrzymich rozmiarach truciznę alkoholiczną ,,La chartreuse“, przyczyniają się w znacznej mierze do wywołania zjawiska wyżej wskazanego. Zniesienie zakonów wszelkich, które są dzisiaj przeżytkami tylko wieków przeszłych, więc szczątkowymi organami na na ciele obecnych społeczeństw jest rzeczą naglącą. Widzimy już też początki tej dążności na zachodzie uwydatnione.

**) Picie umiarkowane, znaczy tyle, że pijący nie zwala się pod ławę, zresztą wyraz ,,umiarkowanie“ nie ma żadnego określonego znaczenia, wszystkie głupstwa, których się dopuszczają pijani, rozpusta, gra w karty, sprzeniewierzenia i cały szereg innych przekroczeń i zbrodni, popełniają się zwykle przy piciu umiarkowanem. Jakie następstwa tego umiarkowania obserwowano dotąd odnośnie do młodzieży tylko, mogą nas pouczyć fakty, opowiedziane przez Dr. G. Bonne.

Zaraza weneryczna, szerząca się pomiędzy młodzieżą nawet nieletnią, co skonstatowano u nas niestety i co małodusznie pokryto milczeniem, ma swoje źródło w piciu umiarkowanem, na zebraniach koleżeńskich. Nic niema gorszego, jak przyswojenie przekonania, że picie umiarkowane nie przynosi uszczerbku ani moralności, ani zdrowiu. Jest to jak powiadam przesąd zabójczy, najbardziej szkodliwy ze wszystkich jakie posiadamy.

dujmy sanatorja i jakoś tam będzie". Są nawet tacy, którzy się oburzają na tych co śmią mówić o abstynencji zupełnej „To jest przesada" powiadają „picie umiarkowane nikomu nie szkodzi". Argumenty powyższe i ironja, wraz z lekceważeniem przestróg i upomnień są dziecinną tylko igraszką w obec grozy położenia, w jakie wtrącona została ludzkość przez namiętność swoją do napojów wyskokowych. Wszystka nikczemność, całe upodlenie, kłamstwo, obłuda, głupota — zawdzięczają swe królowanie alkoholowi.

Żartów więc niewczesnych zaniechać powinniśmy, nie pora dziś na nie, natomiast z całą uwagą możebną zwrócimy się do faktów, do rezultatów badań nowszych których streszczeniem i uwydatnieniem zajął się był kongres, odbyty niedawno w Wiedniu.

Rozpoczniemy od poglądu ogólnego i od wniosków na nim opartych, do których doszedł kongres ze względu na wpływ trunków alkoholicznych na organizm ludzki.

Wszyscy członkowie kongresu, a było wielu specjalistów na polu psychiatrji, fizjologji i medycyny, uznali zgodnie, że wszelki alkohol, czy z fuzlem czy bez fuzlu, czy w wódce, czy w winie, czy w piwie, czy w miodach, jabłecznikach, lub innych do nich podobnych trunkach, jest zawsze szkodliwy dla zdrowia.

Musimy się więc rozstać z tym dawnym przesądem, że owe starki, owe babki i prababki, są dla zdrowia pożyteczne, że wina wytrawne nie są dla zdrowia szkodliwe, że miody panieńskie są tak niewinne, jak ich nazwa poetyczna.

Natomiast musimy, może z silnym bolem serca, uznać ostatecznie, że trunki alkoholiczne wszędzie, na każdem miejscu, uważane być powinne za truciznę, działającą zgubnie na organizm ludzki.

(C. d. n.) *Dr Benedykt Dybowski.*

Z pism i książek.

Stanisław Zdziarski. Pierwiastek ludowy w poezji polskiej XIX. wieku. Studja porównawczo literackie. Warszawa 1901. E. Wende i Sp. 8-ka str. VIII. i 590.

Dwa główne prądy nurtowały w poezji naszej w pierwszej połowie XIX. w. — jednym z nich t. zw. „ludowość", drugim byronizm. Prądy te oba działały głównie w epoce romantyzmu, poczem zaczęły zwolna znikać, ale nieustannie jeszcze nawet w drugiej połowie minionego stulecia dawały znaki życia.

Kierunek ludowy, który znacznie wyprzedził byronizm, który dalej stał się przyczyną odrodzenia poezji naszej, co obumierała z braku pokarmu, — nie miał dotąd żadnego studjum oprócz dwu rozpraw dra A. Kolessy o Bohdanie Zaleskim. Łatwo zrozumieć że wobec kompletnego braku rozpraw źródłowych — historycy literatury musieli mówić o pierwiastku ludowym — ogólnikami. Kwestja tedy monograficznego opracowania chociażby tylko wpływu ludowości na tego lub innego poetę stała ciągle otworem, niezałatwiona.

Teraz dopiero otrzymało piśmiennictwo nasze z pod pióra młodego pracownika obszerne dzieło, wykazujące o ile i jak korzystali poeci nasi z utworów fantazji chłopskiej, jak je przerabiali zastosowując do miary, jaką stawiała poezja artystyczna.

Autor zadał sobie trudu i badaniu drobiazgowemu poddał cały szereg utworów, cały szereg indywidualizmów i tak krok za krokiem wykazywał, co dał element ludowy poezji naszej w wieku XIX. Rezultat zaś tego badania streszcza się w „Zakończeniu" w tych słowach, że pierwiastek ten wydał dla naszej poezji nietylko wiele utworów dobrych i prawdziwie doskonałych, ale też, co najważniejsza, sprawił przewrót w pojęciach ogółu na cel sztuki, sprowadził odrodzenie obumarłej już poezji.

Niepodobna w tym referacie zapuszczać się w szczegóły, ani też choćby ogólnikowo zaznajomić z jej treścią. To też przytoczymy tylko spis jej rozdziałów. „Z początkiem stulecia" kreśli autor zainteresowanie się ogółu ruchem etnograficznym u nas w pierwszych dwu dziesiątkach XIX. wieku, jakoteż przechodzi utwory poetów-klasyków — a więc Brodzińskiego, Niemcewicza, Kamińskiego, Zana i innych wykazując, że oni nie rozumieli wcale ludu, skutkiem czego wkładali w usta postaci wioskowych to, co je przeistaczało w dziwaczne ckliwo sentymentalne figurki. Pierwszy dopiero Mickiewicz zrozumiał, jak należy ornamenta z ust ludu zapożyczone zużytkowywać w poezji artystycznej. Po nim idą rozdziały poświęcone Zaleskiemu, Goszczyńskiemu, Gosławskiemu, Odyńcowi, Chodźce, Witwickiemu, Morawskiemu, Słowackiemu, Korzeniowskiemu. Dalej idą „Epigonowie t. zw. szkoły ukraińskiej" (Groza, Olizarowski i Hołowiński), Siemieński, Bielowski, Kraszewski, Kondratowicz, Zmorski, Lenartowicz i Pol, jakoteż epigonowie dogasającego romantyzmu Korsak, Brzozowski, Zieliński i Anczyc. Teraz zbliżamy się już do ostatnich lat XIX. wieku. W rozdziale tedy p. t. „Na przełomie dwu epok" postawieni zostali poeci: Grudziński, Szujski, Wysocki, Dzieduszycki, Rossowski, Or-ot, Adam Mski, Kośmiński, Sewer-Maciejowski, Sarnecki i wielu innych. Nakoniec widzimy „Młodą Polskę" — Konopnicką, Kasprowicza (któremu autor poświęcił najwięcej miejsca), Tetmajera, Langego, Arnsztajnową, Rydla i Orkana. Wreszcie następuje krótka a zwięzła synteza całej pracy, zawartej na 590 stronach.

Z tego pobieżnego zestawienia nazwisk samych okazuje się, że autor nie pominął nikogo z tych, co brali udział w tym ruchu. Z tego nadto zestawienia okazuje się, że mało który z poetów naszych XIX. wieku nie zużytkował elementów ludowych w swojej poezji. Więc chyba była w pieśni gminnej ogromna moc i siła niespożyta, jeśli dźwiękom jej uległo tyle umysłów — nawet wielkich.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego Lwów, ul. Kopernika 5.